



Kryminał z myszką

16

WAZA Z EPOKI MING

PUŁKOWNIK REGINALD
PENTHAM NA TROPIE

Tadeusz
Kostecki

Tadeusz Kostecki

WAZA Z EPOKI MING

Kryminał z myszką – Tom 16

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-52-6

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

I

Pentham przełknął całkiem brzydkie słowo cisnące się na wargi. Gryząc cybuszek krótkiej fajki z ukosa patrzył na rozłożone karty. Z taką nędzotą licytować szlemika? Dopust boży w postaci Lindsaya jako partnera był dziś cięższy niż kiedykolwiek. Nie chodziło o wynik pieniężny, nie znosił jednak porażek. A w tym wypadku o zrobieniu gry – ani mowy.

Doktor Really tarł koniuszek nosa zgiętym palcem. Rzeczywiście, ten cały Lindsay gra coraz gorzej. Cóż z tego, że teraz jest przeciwnikiem? W następnej turze będzie znów za jego błędy odpowiadać własną kieszenią. A doktor jest okropnie czuły w sprawie kieszeni. Wszyscy to zresztą wiedzą.

Drewniana twarz sir Rismonda nie wyrażała żadnych uczuć. W głębi duszy był jednak zadowolony: Lindsay z każdym kwadransiem więcej gadał i mniej uważał. A kwarantannę gry z nim miał już poza sobą. Szanse dwa do jednego nie wyglądały ostatecznie najgorzej.

Lindsay poczuł przez skórę, że jednak coś nie jest w porządku.

– Czy uważasz, że trochę przeholowałem? – spojrzał niepewnie na partnera. – Przecież myślałem...

– Właśnie – przerwał Pentham z zabójczą uprzejmością. – Myślałeś. Nawet karty świadczą o tym, że myślałeś!

Lindsay zrezygnował z obrony i zaczął znowu coś opowiadać. To był jego stały zwyczaj. Trudno zresztą powiedzieć, by partnerzy specjalnie się nim zachwycali. Karty padały z suchym szelestem na sukno.

– Bez pięciu – doktor z trudem ukrywał triumf. – Z kontrą i po partii to będzie...

Lindsay nagle coś sobie przypomniał.

– Ach prawda! Chciałem cię o coś zapytać jeszcze wieczorem, tylko mi z głowy wywietrzało...

Pentham rozmyślał z pewnego rodzaju przerażeniem o następnej rozgrywce.

– Uhum! – pokwitował chrząknięciem wykrzyknik partnera. – To ci się pewnie nie raz pierwszy od urodzenia zdarzyło?

Lindsay nie reagował na oczywistą prowokację. Zbyt był pochłonięty przedsmakiem sensacji, jaką miał wywołać.

– Chciałbyś może nabyć wazę z epoki Ming?

Pentham oderwał wzrok od zielonego sukna.

– Wazę z epoki Ming?

– Tak. Półtora metra wysokości. Cudownie zachowany egzemplarz.

Pentham słuchał z nagłym zaciekawieniem. Od paru lat zbieranie starej porcelany stało się jego pasją. Miał już sporo cennych okazów. Ale waza z epoki Ming? Nie, do tej klasy zbieraczy nie dorósł.

– Ba – westchnął – pewno, żebym chciał. Niestety, to nie moja kieszeń.

– Tak – powiedział Lindsay – rzeczywiście. Chcą za nią cały majątek. Okrągłe tysiąc funtów, ale...

Pentham wytrzeszczył oczy.

– Co? Tysiąc funtów? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Właśnie. Od razu pomyślałem, że to nonsens wydać tyle pieniędzy na starą skorupę, choćby nie wiem jak była piękna...

– Ależ, człowieku! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, jaką wartość przedstawia porcelana, o której mówiłeś? Chyba chcą dziesięć tysięcy?

– Ależ nie! Tysiąc. Z całą pewnością...

– I ktoś to ją sprzedaje?

– Przepraszam – wtrącił słodko doktor Really – czy gramy w bridża, czy dyskutujemy o porcelanie?

Doktor nie zdradzał najmniejszego zainteresowania porcelaną. Sir Rismond zresztą także.

Pentham chcąc nie chcąc musiał wziąć karty do ręki. Pomimo wysiłku jednak nie mógł skupić uwagi na kombinacjach bridżowych. Waza z epoki Ming za tysiąc funtów? Jeżeli Lindsay nie pokręcił czegoś, w takim razie... Z prawdziwą ulgą powitał zakończenie gry. Tym razem nie interesował go triumf przeciwników, którzy olbrzymim zapisem zakończyli robra.

– Więc kto sprzedaje tę wazę? – rzucił jakby od niechcenia.

Lindsay odłożył krede.

– Sir Gordon z Ricewood.

Pentham zamyślił się. Nazwisko nic mu nie mówiło.

– Ricewood? – powtórzył. – A gdzie to jest?

Lindsay wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? Ale nie trudno go będzie znaleźć. Przecież to ten Gordon, prezes Stalowego Trustu...

– Oho! – Doktor Really nagle zamrugał oczami. Porcelana wprawdzie nie obchodziła go ani trochę, jeżeli jednak chodziło o Trust Stalowy, sprawa wyglądała inaczej. Tarł w zamyśleniu nos. – Hm... Czy – spojrzał spod oka na Penthama – rzeczywiście uważa pan, pułkowniku, że cena tej wazy jest niewspółmierna z wartością?

– Oczywiście – powiedział Pentham. – Jeżeli jest autentyczna i taka, jak ją opisał Lindsay, musi być warta kilkakrotnie więcej.

Doktor nie przestawał trzeć nosa.

– W takim razie dlaczego ją sprzedaje tak tanio?

Pentham zadawał sobie w duchu to samo pytanie.

– Albo nie zna jej pełnej wartości...

– Sir Percy Gordon? – Doktor przygryzł wargi i nawet tego nie zauważył. – Ba, jeden z największych zbieraczy...

– Albo potrzebuje na gwałt gotówki...

...Otóż to – pomyślał żałośnie doktor. Prezes Stalowego Trustu potrzebuje na gwałt gotówki... Ładna historia. Pokażny pakiet akcji Stalowego Trustu stanowił właśnie podstawę egzystencji doktora. Nic więc dziwnego, że myśli jego przybrały zabarwienie paniczne, nie zdradził się jednak ani słowem. Doszedł do wniosku, że tu trzeba działać i to natychmiast.

Do tego samego wniosku doszedł i Pentham przysłuchując się dalszym słowom Lindsaya. Lindsay napomknął coś o Mac Cormicku. Dziś właśnie do specjalnie szczęśliwych zdarzeń losu należy zaliczyć fakt, że Mac Cormick nie przyszedł akurat tej nocy do klubu. Za to jutro przyjdzie na pewno i wtedy...

II

Radca królewski Wimbrow był nie tyle śpiący, co znudzony. Toteż z całą gotowością służył Penthamowi informacjami:

– Ależ tak, pułkowniku – odłożył płachtę Timesa. – Nie byłem tam wprawdzie osobiście, za to słyszałem mnóstwo opowiadań. Ricewood jest czymś w rodzaju osobliwości narodowej. Niech pan pomyśli: podzwrotnikowa dżungla w sercu Anglii! Sir Gordon wydał podobne setki tysięcy funtów, by zaaklimatyzować niektóre gatunki egzotycznych roślin. I, co ciekawsze, udało mu się. Jakies dwadzieścia pięć lat temu, gdy zaprosił po raz pierwszy gości do Gordon's Hill – tak się nazywała jego rezydencja – było o tym głośno w całym kraju. Teraz ludzie pozapominali. Ostatnio sir Gordon jakoś stronił od towarzystwa.

– A gdzie leży to cudo natury?

– Hm – radca królewski obserwował koniec swego cygara, jak by tam spodziewał się znaleźć odpowiedź – prawdę powiedziawszy nie wiem dokładnie. W każdym razie gdzieś na południu. Dwieście, czy trzysta mil od Londynu. Doskonała szosa... Przynajmniej była w swoim czasie...

W tej chwili makler giełdowy Harlow podbiegł do telefonu, którego jazgotliwy alarm rozdarł ciszę nocnego spoczynku.

– Halo! – zaryczał wściekle. – Co to u diabła za kawały, żeby człowieka budzić po nocy? Ja...

Gdy usłyszał dalsze słowa, wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

– Co? – niemal krzyknął. – Zlecenie giełdowe o tej porze? Pan chyba... Zresztą proszę do mnie zatelefonować rano...

Miał już zamiar odłożyć słuchawkę, jednakże energiczny głos, atakujący membranę, powstrzymał go w ostatniej chwili. Dopiero teraz poznał rozmówcę.

– Tak – wytrzeźwiał cokolwiek z oparów snu. To jeden z najpoważniejszych klientów. Nie miał najmniejszej ochoty go stracić. – Ale panie doktorze – próbował perswadować znacznie łagodniejszym tonem – przecież dopiero piąta i...

Doktor Really przerwał bezceremonialnie. Nie zwykł się bawić w delikatności, gdy chodziło o sprawy majątkowe.

– Gdybym się chciał dowiedzieć, która godzina, zadzwoniłbym do zegarynki, a nie do pana. Proszę zanotować zlecenie!

Harlow stłumił westchnienie, nie mógł jednak stłumić ziewania. Dłuższa chwila minęła zanim zdołał odszukać blok i ołówek. Głos doktora zdrzął wyraźnie zniecierpliwieniem:

– A więc...

Harlow pisał posłusznie. Nagle ołówek zawisł w powietrzu:

– Co? – przerwał dyktującemu. – Chyba nie zrozumiałem?

– Dobrze pan zrozumiał – warknęła słuchawka – i...

– Ale... ale to przecież cały pakiet... – jąkał makler.

– Niech się pan nie bawi w jasnowidza, dobrze? – zaproponował sarkastycznie doktor.

– Chyba dyktuję zupełnie wyraźnie?

– Jednak puszczanie takiej ilości akcji jednocześnie musi obniżyć kurs. Może puścimy je mniejszymi partiami i wówczas...

– Nie. Sprzeda je pan od razu. I to zaraz po otwarciu giełdy!

– Bez względu na straty?

– Bez względu!

Z Harlowa opadły resztki senności. Zlecenie zaczynało być mocno sensacyjne.

– Po jakim najniższym kursie?

– Po każdym, jaki pan zdoła osiągnąć!

Harlow przez pewien czas obserwował bezmyślnie odłożoną słuchawkę.

– Fiuuut – gwizdnął wreszcie przeciągle. – To takie buty? Po każdym kursie? A więc Trust Stalowy... Doktor Really uchodził w City za tęgiego finansistę.

Tak, tego nie można lekceważyć. Uhum – łyknął kieliszek whisky – all right...

Sięgnął zdecydowanym ruchem znowu po słuchawkę. Piąta nie piąta. Trudno. Pieczone gołąbki ani rusz same nie... Wiedział, kogo należy ściągnąć z łóżka, by wydusić z rozmowy pokazną porcję funtów. Telefon zaczął pracować.

W momencie, gdy doktor Really zakończył rozmowę, od drewnianej ścianki rozmównicy oderwał się jakiś cień, znikając bezszelestnie w załomie korytarza. Zaraz po tym w kabinie telefonicznej w hallu klubowym zapłonęła lampka. Tym razem głos, który odezwał się w słuchawce, nie miał w sobie ani śladu senności.

– Tak – zdawał krótko raport – w porządku. Trzeba jeszcze... – słowa rozkazu brzmiały wyraźnie i bezapelacyjnie. Po skończonej rozmowie ktoś na drugim końcu

przewodu westchnął ni to z ulgą, ni to z obawą. A może z jednym i drugim uczuciem jednocześnie.

Zaczęło się... Karty rzucone...

Pentham kłął w żywy kamień niewinny rozkład jazdy.

– Psiakrew! Co za porządki! Tylko dwa pociągi na dobę? Po prostu skandal. I żeby taki milioner... Dobrze Wimblowowi zachwycać się szosą. – Pentham nie miał własnego samochodu. – Wynajmować na trzysta mil? Ani mowy!

Zegar w bibliotece klubowej wydzwonił wpół do szóstej. Pentham odłożył rozkład. Pierwszy pociąg odchodził za niecałą godzinę. Ledwo zdążył się przebrać i coś niecoś złapać na drogę. A czekać na popołudniowy? Nie, lepiej nie. Lindsay wieczorem oczywiście wyśpiewa Mac Cormickowi o wazie. A ten nie będzie się bawił w rozkłady jazdy. Jego wielocylindrowy wóz połknie te trzysta czy ileś tam mil jednym haustem. Konkurencja Cormicka w razie ewentualnego licytowania się o wagę nie pozostawiała najmniejszych szans. Bo Cormick był potęgą finansową. I to nie tylko w porównaniu z Penthamem. Poza tym namiętnie miłował chińską porcelanę. Więc jedyną szansę stanowiło te kilkanaście godzin for.

Gdy Pentham wsiadał do taksówki, mrok rzedniał powoli na ulicach miasta. We wnękach bram było jeszcze zupełnie ciemno. Tak ciemno, że przytulona mocno do muru sylwetka ludzka nie różniła się od jednostajnego tła. Dopóki czerwone światelko taksówki było widoczne, we wnęce panował niczym niezmacony bezruch. Dopiero gdy znikło, szara sylwetka, zaledwie widoczna w mroku, pobiegła do najbliższego automatu telefonicznego. Bo ten, kto wydał rozkazy, nie znosił opieszałości. Ani nieostrożności. I potrafił wzbudzać w swych ludziach bezwzględny posłuch.

III

Pentham spojrział na zegarek i odetchnął z ulgą. Teraz na pewno zdąży. Przestał go irytować sapiący motor samochodu i jego żółwie tempo. Co tam, jeszcze kilkaset metrów...

Wyciągnął się na sfatygowanych sprężynach. Gorączkowe tempo przygotowań do podróży trochę go rozkleiło. Przez te kilka lat zasiedziało się na miejscu. Przyzwyczaił się do wygod. Zardzewiał. Rzucił okiem przez zamazane szyby. Skręcili właśnie w Kingston Road. Jeszcze minutę i będą na dworcu. Zaczął obmacywać kieszenie, szukając fajki. Nie byłby taki spokojny, gdyby znał treść pewnej rozmowy i pewnej transakcji. Gdyby wiedział, że los jego podróży został przesądzony przez kogo innego. I to przesądzony w zupełnie odmienny sposób. Ale nie wiedział...

– Psiakrew – zapuścił palce w którąś tam z rzędu kieszeń podróźnej kurtki – gdzie ta przekłeta fajka?

Nagły wstrząs o mało nie zrzucił go z siedzenia. Cienko zabrzęczały szyby. Spóźnione jazgotanie klaksonów i zgrzyt hamulców. Pentham skoczył na równe nogi. Karambol. Szarpnął drzwiczki i, wsunawszy w ręce klnącego szofera banknot, chciał biec w kierunku dworca. Nie miał zbyt wiele czasu do stracenia. Niespodziewana przeszkoda zatrzymała go w miejscu. Srebrne guziki na niebieskim tle. Pasiasty mankiet. Szczelnie opięty na korpulentnych kształtach mundur. Policjant.

– Przepraszam – Pentham chciał go wyminąć.

Automatyczny ołówek na kształt semafora zaznaczył zamknięcie drogi.

– Przepraszam – powtórzył Pentham. – Proszę mnie przepuścić. Spieszę się na pociąg. Ale policjant nie chciał przeprosin. Chciał czegoś bardziej konkretnego.

– Pan był świadkiem zderzenia, sir?

– Nie, nic nie widziałem!

W tej chwili szofer drugiego samochodu przestał się wyklócać ze swoim przeciwnikiem.

– Jak to nie? Właśnie w momencie, gdy ten patałach najechał na mnie, pasażer wyglądał przez okno. Musiał dokładnie widzieć cały przebieg hm... katastrofy – ostatnie słowo wymówił ze specjalną emfazą. – Najlepszy mój świadek.

Nie pomogły perswazje ani pokazywanie legitymacji. Policjant był nieugięty jak skała. Imię, nazwisko, adres, imiona rodziców i tak dalej. Automatyczny ołówek biegł niestrudzenie po kartkach pokaźnej objętości notesu. Pentham miał pecha... Natrafił na służbistę, który niczego nie chciał zrozumieć. Musiał urzędować i czynił to z niewzruszoną powagą.

Pentham raz po raz zerkał na zegarek. Wskazówki biegły naprzód z nieubłaganą konsekwencją. Wreszcie zostało tylko dwie minuty. Policjant urzędował w najlepsze i nic nie wskazywało na to, by miał zamiar kończyć. Coraz głębiej wdawał się w rozstrząsanie rodowodu Penthama. Ten w końcu nie wytrzymał.

– Czy pan nie może zrozumieć, do cholery, że mi pociąg ucieknie sprzed nosa? – warknął napastliwie.

W wodnistych oczach policjanta zamigotały niebezpieczne ogniki.

– Czy pan chce, bym mu wytoczył sprawę o obrazę urzędnika, hę?

Pentham przygryzł wargi. Tak, ten wyglądał na to, że to zrobi. A to jeszcze bardziej skomplikowałoby sprawę. Minęły te czasy, gdy mógł się z niczym nie liczyć. Teraz był zwykłym, szarym obywatelem. Emerytowany pułkownik Reginald Pentham to przecież niewiele znaczy. A zresztą, nawet w tych czasach, gdy brał udział w „wielkiej grze”, mundurowa policja nieraz włąziła mu w paradę.

Gdy zziąjany przybiegł na dworzec, dowiedział się, że pociąg właśnie przed pięcioma minutami odszedł. Następny pociąg za pięć godzin. Diabli nadali. Najdalej za trzynaście godzin Lindsay dopadnie w klubie Mac Cormicka. I wypaple o wazie. A wówczas potężny motor samochodu Cormicka pokaże do czego jest zdolny. Strzepnął palcami. Pech...

Gdyby wiedział, co postanowili ludzie, których istnienia nawet się nie domyślał, nie wspominałby o pechu. I zastanowiłby się głębiej nad wyruszeniem w tę podróż.

Człowiek w mundurze szofera kończył właśnie oględziny uszkodzonego samochodu. Zgięty błotnik i rozbita latarnia. No i w paru miejscach porysowany lakier. Wszystko razem bagatela. Najwyżej dwa funty. Był dumny, że poszło tak gładko. Mogło być dużo gorzej. Ale przecież i dwa funty to sporo pieniędzy. Szczególnie dla człowieka, którego jedynym zarobkiem jest prowadzenie publicznej taksówki. Nie wyglądał jednak na zgnębionego. Raczej przeciwnie. Z najbliższego automatu zatelefonował pod pewien numer. Powiedział tylko parę słów. Wystarczyły one jednak, by ktoś przekazał komuś innemu jedno jedyne słowo: „załatwione”. Szofer zadzwonił z kolei pod jeszcze inny numer. Z tym jednak rozmawiał o wiele dłużej. Nic dziwnego: rozmawiał z dziewczyną. Ze swoją dziewczyną.

– Wiesz, Mary, kupię ci sukienkę, którąś się tak zachwycała u Woolwortha!

Ale dziewczyna dbała bardzo o moralność swego chłopca.

– Skąd wzięłeś tyle pieniędzy?

Szofer się zmieszał.

– Bo, widzisz, miałem maleńką katastrofę i...

– Katastrofę? I stąd pieniądze? – Nie, tego Mary nie mogła w żaden sposób zrozumieć.

Szofer za to rozumiał doskonale. Tyle tylko, że z pewnych względów nie miał prawa jej tego tłumaczyć.

IV

Wagony odrapane. Wytarty plusz obić. Wszystko brzęczało i jęczało przy każdym obrocie kół, jak by lada chwila miało się rozpaść w bezkształtną kupę żelastwa.

Pentham z nienawistnym wstrętem oglądał nowonabytą fajkę. Świństwo nie fajka. Oto są skutki kupowania w nieznanym sklepie. Firma na fajce niby pierwszorzędna. Cena też odpowiednia. A wszystko razem ordynarne oszustwo. Gdy pierwszy raz pociągnął, myślał, że zwymiotuje. Gorzkie i śmierdzi. Miał nadzieję, że się wypali. Gdzie tam! Za drugim razem wyszło jeszcze gorzej. Nic, tylko pluć. A jego własną fajkę gdzieś diabli wzięli. Czy wypadła wtedy w taksówce, czy gdzie indziej... Wszystko jedno. Dość, że jej nie ma.

Pod plecami jęknęły obluźowane sprężyny. Ocieżałym ruchem odłożył ilustrowany magazyn. Nudny. W ogóle był w paskudnym nastroju...

Ciekawe, czy cały ten pociąg dojedzie o własnych siłach do celu? I co najważniejsze: o której? Powinien być o dziewiątej. Ach, prawda – przypomniał sobie – przesiadka w Brownstone. Dwieście z czymś mil... dziewięć godzin! Tempo jak za króla Ćwieczka. W ogóle na tej linii wszystko wygląda tak, jak by ubiegłe stulecie powróciło do pełni swych praw... Mac Cormick może być najwcześniej... – zaczął obliczać.

Na drogę zużyje w każdym razie ze dwie godziny albo powiedzmy nawet około trzech. W każdym razie noc, przygotowania do podróży... Nie, nie powinien chyba dotrzeć prędzej jak o jakiejś pierwszej...

Monotonny stukot kół wpadał w rozmyślania usypiającym rytmem.

– Proszę o bilety, sir... – usłyszał jak przez mgłę. Nie otwierając oczu sięgnął do kieszeni.

Konduktor jednak zamiast wycofać się z przedziału ruszył w głąb. – Dziękuję, madame...

– O której będziemy w Brownstone? – Głos melodyjny jak dźwięk srebrnych dzwoneczków.

– Dziewiętnasta dwadzieścia dziewięć.

Szmer zasuwanych drzwi.

Madame? – zdziwił się Pentham. – I ten cudny głosik? Musiała widocznie wsiąść w czasie mojej drzemki.

Otworzył oczy rzucając dyskretne spojrzenie na miejsce pod oknem. Zamknął je jednak czym prędzej. Nie madame, a szkarada. Jakiś wypłowiwały beret nasunięty na uszy. Brązowe okulary ogromnych rozmiarów i nogi... No, trudno to w ogóle nazwać nogami. Pentham był specjalnie czuły pod tym względem. A tu, sądząc po rozmiarach sportowych buciorów sięgających aż do połowy łydek, jakieś okropne odnóża.

Diabli nadali takie czupiradło – wściekał się w duchu – tylko skrępowanie. Jak pech to pech. W każdym razie: dama.

Akurat okropnie zachciało mu się palić. No, nie ma co udawać dalszej drzemki.

– Przepraszam – uklonił się grzecznie – czy pani pozwoli zapalić?

– Proszę – głos znacznie mniej melodyjny. Jak by stłumiony.

Pentham zabrał się do swej fajki. Po chwili palący gorącą sok zaczął sączyć się przez cybuszek do gardła. Łykał przepojoną nikotyną ślinę. Nie wypadało przecież pluć przy damie. Żeby ją wszyscy... Wciekłość w duszy Penthama narastała w alarmującym tempie. Sięgnął po odłożony magazyn. Lepsze już to, niż...

Po kilku minutach dama zaczęła szamotać się z oknem. Nie wypadało nie zauważyć.

– Przepraszam, czy chce pani otworzyć?

– Tak... Brak powietrza. – Głos suchy, coraz mniej melodyjny.

Ano trudno. Chcąc nie chcąc zaatakował okno. Przedsięwzięcie nie należało do najłatwiejszych. Zanim zdołał opuścić upartą ramę, wystąpiły mu na czoło kropelki potu.

– Dziękuję...

W głosie damy dźwięczały jakieś dziwne nutki.

Nie zastanawiał się jednak nad nimi. Nic go nie obchodziła razem ze swoimi okularami.

Fajka dla odmiany przestała ciągnąć! Widocznie się zatkała. Tandeta jakiej świat nie widział. A przeczyszczać? Nie. Lepiej nie. Co innego, gdyby był sam w przedziale. A tak... W każdym razie kobieta. Nie miał prawa narażać jej na nieestetyczne widowisko. Wsadził fajkę do kieszeni. Wetknął nos w magazyn starając się bezskutecznie zrozumieć zawiłą pointę jakiejś nowelki. Znowu odgłosy szamotania się z oknem. Zrezygnowanym ruchem odłożył czasopisma.

– Chce pani zamknąć okno?

– Tak, zimno...

Powstał powoli. Uwzięła się widocznie, by mu nie dać chwili spokoju. Mechanizm okna świadczył o żelaznej konsekwencji konstruktora. Tak samo trudno było je zamknąć, jak i otworzyć.

Właśnie kończył skomplikowaną operację, gdy do przedziału zajrzał konduktor:

– Za dziesięć minut dojeżdżamy do Brownstone.

Pentham odetchnął z ulgą. Resztę drogi będzie mógł odpocząć po tych wentylacyjnych zachciankach.

Dama nabrała nagle życia. Sięgnąwszy po mały neseserek wyszła z przedziału.

Pogonił za nią złośliwym spojrzeniem. Pewno się chce upiększyć po podróży! Niewiele jej to pomoże. Żeby nie wiem co robiła. Czy takie coś nie posiada w ogóle lusterka? No, niech ją tam...

Korzystając z jej nieobecności zabrał się do przeczyszczania fajki. Wielka kropla brunatnego soku kapnęła na podróżną kurtkę, znacząc niechlujną plamę.

– Psiakrew! – zaklął na głos. – Ależ pechowa seria...

Zaczął się od tego nieszczęsnego szlemika. Szlemik bez pięciu. Bagatela! Jak klub klubem raz tylko miała miejsce podobna kompromitacja. Wtedy wpadł Cormick. W zeszłym roku. A przecież dotychczas jeszcze wspominają o tym w formie rodzinnej anegdoty. Teraz przybędzie nowa anegdota. Oczywiście: reputację jednego z najlepszych bridżystów wezmą diabli. Żeby chociaż z tą wagą coś wyszło... Bo na informacjach Lindsaya nigdy nie można polegać w stu procentach. Jak nie mógł coś przekręcić. Zdarzyłoby mu się to nie po raz pierwszy. Zresztą, przy jego roztrzepaniu...

Spojrzał na zegarek. No, nareszcie to nieszczęsne Brownstone. Sięgnął po swoją walizkę. Uderzył go elegancki wygląd bagażu nieznanego. Świńska skóra i białe, matowe okucia. Chyba ze srebra? Tak, wyglądało na to. Bagaż dziwnie nie pasował do osoby właścicielki. Oprawiony w skórę bilet wizytowy chybotął się miarowym ruchem. Zerknął ciekawie. I aż gwizdnął. „Florence Gordon, Ricewood Hill”. Więc chyba córka? Bo przecież nie żona? W każdym razie za młoda. No, ładnie musi wyglądać cały ten multimilioner, jeśli zdobył się na splodzenie tego rodzaju potomstwa...

Wcisnął czapkę na głowę. Zoperowana fajka znowu zaczęła ciągnąć. W rezultacie nie wiadomo co lepsze. Ten wstrętny sok spływający na język. Splunął zamasyście. I właśnie w tej samej chwili:

– Dojeżdżamy już do Brownstone, prawda?

Głos melodyjny jak wiolonczela. Melodyjniejszy niż dotąd.

Spojrzał i osłupiał. Zamroczyło go, jak niespodziewany cios pałąk w głowę. Wytrzeszczył oczy i zastygł w bezruchu. Nie odpowiedział. Nie był w stanie odpowiedzieć. Nie był w stanie nawet zamknąć ust, które bezwiednie otworzył. Pułkownik Reginald Pentham, były as Inteligence, kawaler iluś tam orderów, między nimi najwyższych, który niejedno już w życiu widział, stał jak zaczarowany. I prawdę powiedziawszy, wygląd jego w tej chwili nie czynił zbyt dobrego wrażenia. Raczej wprost przeciwnie.

Cóż u licha – myślał bezradnie – przecież to niemożliwe. To ma być ta sama istota?...

Platynowa gęstwina ocieniała bogactwem loków wyrzeźbioną delikatnym rylcem twarzyczkę. Kształtne, maleńkie nóżki w arcydziełach sztuki szewskiej. I oczy... Fiołkowe precudne źrenice, rozświetlone skierkami wesołych chochlików.

– Przepraszam! – Konduktor potrącił go wchodząc do przedziału. Zdjął z siatki wytworny bagaż. Jeszcze raz go potrącił wychodząc za nieznajomą.

Pułkownik Reginald Pentham stał bez ruchu. Dopiero po dłuższej chwili odzyskał zdolność ruchu.

– Psiakrew – zaklął bezradnie. – Żeby... żeby... – pomimo wysiłku nie potrafił określić tego, co zaszło przed chwilą. – Czarna passa... Nic innego tylko czarna passa – odplunął gorzki sok, po czym zacisnąwszy palce na rączce walizki ruszył chwiejnie ku wyjściu.

V

Pociąg, łączący Ricewood z Brownstone, spisał się znacznie gorzej od swego poprzednika. Gdzieś już przed samym kresem podróży utknął na jakiejś stacyjce i stał, z niewiadomego powodu, przeszło godzinę. Gdy wreszcie dotarł do Ricewood, dziesiąta minęła już dawno. W każdym razie dotarli. Pentham przez cały czas rozmyślał o transformacji towarzyszy podróży. Dama zniknęła w Brownstone. Widocznie nie jechała do Ricewood. Pomimo wysiłku nie zdołał odegnąć natrętnej wizji fiołkowych źrenic.

Za oknami wagonu zalegał gęsty mrok, rozświetlany zamazanymi plamami latarek ręcznych. Pomimo szczupłości bagażu musiał skorzystać z usług tragarza. Inaczej połamałby chyba nogi na peronie. Jak zdołał zauważyć, był jedynym podróżnym, który tu wysiadał.

W niewielkiej poczekalni kopciły naftowe lampy. Światło ich odbijało szklisto od tkwiących bezużytecznie w żyrandolu żarówek.

– Co to – zażartował bez humoru – oszczędności prądu?

Tragarz wzruszył ramionami.

– Małe uszkodzenie w elektrowni, sir.

Otrzymawszy napiwek znikł, zanim Pentham zdołał go zapytać o Gordon's Hill.

Pentham rozejrzał się bezradnie. Na sali było pusto. Tylko jakaś bezbarwna panienka zamykała kiosk z gazetami.

Pospieszył ku niej w obawie, by i ona z kolei nie zniknęła.

– Droga do Gordon's Hill? – spojrzała na niego wyraźnie zdumiona. – Chce pan tam iść?

– Oczywiście!

– Hm – pokiwała głową z powątpiewaniem. – I to teraz, po nocy...

– O, o, powiedzmy, że noc jeszcze nie nadeszła. Czyżby były jakieś przeszkody?

– Przeszkody? – zamyśliła się. – Nie... To jest, właściwie... – utknęła. – Nie – oświadczyła wreszcie pewniejszym głosem – przeszkód nie ma. Tylko daleko...

– Bardzo daleko?

– Przeszło osiem mil. I do tego – znowu zawahała się. – Widzi pan, Gordon's Hill leży na wyspie. Jest wprawdzie motorówka i łódzie rybackie, ale teraz... Zwłaszcza gdy... – nie skończyła.

Jej wyraźne niedomówienia nie mogły ujść uwagi Penthama. Nie zastanawiał się jednak nad ich znaczeniem. Dosyć miał własnych trosk i kłopotów. Nie można powiedzieć, by droga do upragnionej wazy układała się zbyt gładko.

– Chyba jednak znajdę tu jakiś samochód czy coś w tym rodzaju?

– Tak – panienka przekreśliła klucz w kłódce – jest tu samochód. Taksówka ojca Browna. Czeka codziennie przed stacją na pasażerów południowego pociągu. Ale na

wieczory nigdy nie przyjeżdża. Traciłby tylko czas. – Zamknęła teczkę. Widocznie zamierzała odejść.

– Chwileczkę – powstrzymał ją błagalnym gestem. – Czy nie mogłaby mnie pani objaśnić, jak mam znaleźć garaż ojca Browna?

– Och – roześmiała się lekko – nic łatwiejszego. Z dworca prosto, potem w lewo, wreszcie trzecia ulica na prawo. Tuż za rogiem. Bardzo blisko.

Może i było rzeczywiście bardzo blisko. Jeżeli jednak chodzi o łatwość znalezienia garażu, panienka z kiosku mocno przesadziła. Przed dworcem panował mrok tak gęsty, że Pentham nie mógł dostrzec własnej ręki. Z uporem godnym lepszej sprawy zrobił kilkanaście kroków, potknął się o coś niewidocznego w ciemnościach, otarł boleśnie kostkę u nogi i zrezygnowany wrócił na dworzec.

Na szczęście w korytarzu przyłapał jakiegoś tragarza.

– Czy nie moglibyście mnie doprowadzić do garażu ojca Browna? – przytrzymał go za rękaw bluzy.

Tragarz nie zdradzał najmniejszego entuzjazmu. Dopiero widok pieniędzy zdołał go jako tako przekonać.

– A no, pół funta to jest pomimo wszystko pół funta – zauważył filozoficznie i zaczął zapalać karbidową latarkę.

VI

Do garażu naprawdę było niedaleko. Już po paru minutach wędrówki żółtawa plama światła, pełgająca po nierównych płytach chodnika, oznajmiła, że dotarli do celu.

– Przyprawiam pana pasażera, ojciec Brown – zaanonsował tragarz. Po chwili cichnące w oddali kroki dowodziły, że bardzo mu się śpieszyło.

Pentham rozejrzał się wokoło. Na środku niedbale skleconego baraku stał przedpotopowy Ford. Pod podniesioną maską motoru manipulował coś człowiek w załuszczonej kombinezonie.

– Pasażera? – podniósł głowę, prezentując gładką łysinę i białą jak śnieg kozią bródkę.

– Tak – potwierdził Pentham. – Chciałbym mianowicie jechać...

– Wykluczone – przerwał w pół zdania ojciec Brown. – Dopiero przed chwilą wróciliśmy z wędrówki. Ja i on – wskazał kiwnięciem głowy samochód – potrzebujemy odpoczynku.

Pentham przysiadł na blaszance od benzyny.

– Chodzi o niewielką przejażdżkę.

– Dość mam jak na dzisiaj przejażdżek – sarknął starzec. – Pański poprzednik też mnie wynajął na przejażdżkę. A potem włóczyliśmy się przez sześć bitych godzin po rozmaitych wertepach. Dotychczas nie mogę zrozumieć, w jakim celu.

– Wszystkiego osiem mil...

– Ani pół mili!... Poczekał pan – popatrzył na niego podejrzliwie. – Osiem mil? Czy nie ma pan przypadkiem na myśli przystani Gordon's Hill?

– Właśnie! – Penthama aż zdziwiła jego domyślność.

– Ach, tak! – parsknął. – Gordon's Hill! Tylko tyle? I do tego po nocy? Mała przejażdżka... Nie pojedą! Rozumie pan? Nie pojedą – niemal krzyczał. – Ani za dwa funty. Ani za trzy. Ani nawet za pięć – dał nurka pod maskę samochodu.

Pentham ssał cybuszek niezapalanej fajki. Niech to wszyscy diabli. Na dobitek zaczął mu dokuczać głód. Utknąć tuż przed celem? Żeby Mac Cormick sprzątnął mu sprzed nosa węzę?

– A za dziesięć funtów?

Brown wyprostował się nagle.
– Co? – przyglądał się Penthamowi jak jakiemuś nieznanemu okazowi. – Dziesięć funtów za jazdę do przystani?
– Tak.
– Hm... – podrapał się w łysinę. – To ma być propozycja na serio?
Pentham wyjął z portfela banknot i wyciągnął go ku staremu.
– Proszę. Teraz chyba nie wątpicie?
Brown obejrzał papier ze wszystkich stron.
– Tak – mruknął. – Nie wątpię. I co więcej: pieniądz jest prawdziwy. W takim razie...
– Dobry wieczór, ojcie Brown – tyczkowata sylwetka wychynęła z ciemności.
Metalowe guziki zabłyśły mgławo odbłaskami światła.
Pentham spojrział z ukosa na przybysza. Znowu policjant! Bania się z nimi dziś rozbiła, czy co?
Policjant zwrócił się do Browna.
– Wróciliście jednak. A już się zaczynaliśmy o was obawiać.
– Ano wróciłem – Brown nie przestawał majstrować przy motorze. – Ale za chwilę znowu jadę. I to do przystani.
– Ho, ho! – policjant był wyraźnie zdziwiony. – Na przystań? Po nocy? A po co?
– Z tym panem – Brown machnął ręką w kierunku Penthama.
Policjant odwrócił się powoli.
– Ach, tak – obrzucił Penthama przeciągłym spojrzeniem. – Z tym panem?
Przepraszam – zasalutował lekko – pan tu jest obcy?
Pentham miał już całkiem dosyć indagacji policyjnych.
– Cóż – wzruszył ramionami. – To już jak kto uważa.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI